

# Spowiedź dziecięcia wieku

Siedzisz osiem godzin w ciepłej w bibliotece, czytasz książki, które masz na wyciągnięcie ręki, popijasz sobie herbatę z cytryną. Cisza i spokój. Czasem szukasz jakiegoś tytułu w katalogu albo poprawiasz rewers. Życie nie umierać – stwierdziła ostatnio moja znajoma, która zdecydowała, że po ukończeniu studiów polonistycznych rozpocznie kolejny, (równie przyszłościowy?) kierunek – bibliotekoznawstwo. Odpowiedziałam jej, że raczej to drugie, że nie żyć, tylko umierać. Na dodatek śmiercią (niestety) powolną i oczywistą. Nie skomentowała, rzuciła mi tylko pobłażliwe, jakże wymowne spojrzenie. Wtedy pomyślałam, że zbliżająca się śmierć bibliotek nie jest chyba tak oczywista, jak mi się zdawało. Przynajmniej nie dla wszystkich. Kto wie, może nawet bibliotekarze, zaszyty w swoich ciepłych norkach, otuleni kurzem sypiącym się ze starych woluminów, nie czują jeszcze na karku jej zimnego oddechu?

A przecież nie są to nowe tendencje. Nieprzydatność bibliotek zapowiadali już dziewięćdziesiąt lat temu futuryści. Niektórzy z nich nie przebiegali w słowach. „Niechże więc nadejdą radośni podpalacze o zwęglonych palcach. Oto oni! Nuże! Kładźcie ogień pod szafy biblioteczne!” – to Marinetti. Polscy futuryści nie byli tak radykalni, nie chcieli niszczyć. Uznali, że książka jest anachroniczną formą kontaktu z czytelnikiem. „Z chwilą wynalezienia telefonografu, tj. połączenia fonografu z telefonem, książka jako pomost pomiędzy twórcą a publicznością okaże się do reszty nieużyteczna i zbędna”<sup>1</sup> – pisał Jasioński. Dziś wystarczy zmienić nieco początek, w miejsce telefonografu wstawić komputery oraz stałe połączenie z Internetem i mamy odmłodzoną o dziewięćdziesiąt lat koncepcję współczesności.

Dawny pomost jeszcze nie runął, ale przęśła zaczynają powoli pękać. Twórcy i czytelnicy coraz częściej wybierają inną, szerokopasmową drogę komunikacji – Sieć. Na tę drogę – rozpędzeni i pełni energii – wkroczyli współcześni futuryści. Twórcy *Rozdzielczości Chleba* – świeżo upieczonego sieciowego wydawnictwa. „Papier się kończy, nie warto nawijać kolejnej

\* Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny, Katedra Literatury Polskiej XX i XXI wieku.

<sup>1</sup> B. Jasioński, *Do narodu polskiego. Manifest w sprawie natychmiastowej futurystycznej zmiany życia*.  
<http://literat.ug.edu.pl/bruno/034.htm> [dostęp: 10.12.2011].

rolki! Zdigitalizujemy trzewia bibliotek i podpalmy je, by w ciepłe ogniska wysiadywać jaja nowych procedur i cyfrowych mutantów żywiących się kodem, a popioły rozsypmy po systemowych folderach lub wciągnijmy do nosa<sup>2</sup> – piszą.

No dobrze, ale co mają robić narażeni na bezrobocie bibliotekarze? Odpowiedź jest prosta. Digitalizować. „[...] Po raz pierwszy od czasów Biblioteki Aleksandryjskiej możemy sobie wyobrazić stworzenie archiwów zawierających wszystkie wytworzone lub upowszechnione twory kultury. Technologia pozwala na stworzenie archiwum wszystkich opublikowanych książek, a także, z czasem, wszystkich filmów i nagrań radiowych oraz muzyki<sup>3</sup>. Sieć stanie się współczesną Biblioteką Babel? Miejmy nadzieję. W końcu „czym innym jest Internet, jak nie nieskończoną biblioteką? Czym innym są wyszukiwarki, w rodzaju Google, jak nie katalogami katalogów?”<sup>4</sup>. Pamiętamy, że do Borgesowskiej Biblioteki prowadzą piętra „niższe i wyższe: nieskończenie”. W Sieci, zamiast pięter, są linki, które pozwalają nam poruszać się w górę i w dół, w poprzek i wzdłuż wirtualnego świata – jedno kliknięcie odsłania przed nami nieskończoną liczbę możliwości, liczbę alternatywnych dróg. Nawigacja w Internecie niewiele różni się od sposobu, w jaki pielgrzymi poruszali się po Bibliotece Babel w poszukiwaniu ukrytej książki – esencji pozostałych. Księga A odsyłała ich do Księgi B. Księga B do Księgi C. I tak w nieskończoność.

Należy jednak podkreślić, że Borgesowska Biblioteka jest totalna. Internetowa jeszcze nie. W Sieci znajduje się zaledwie odsetek wydrukowanych tytułów, jednak ich liczba ciągle wzrasta. Możemy obserwować działalność organizacji (takich jak m. in. Fundacja Nowoczesna Polska, Fundacja Liternet), zajmujących się udostępnianiem w Internecie utworów, do których wygasły prawa autorskie. „Jestem wolny! Spotkajmy się w Internecie!” – głosi hasło akcji społecznej „Wolni Pisarze, Wolne Pisarki”. Chętniej spotkam się z oswobodzonym właśnie (po siedemdziesięciu latach) Jasieńskim w Sieci niż w bibliotece.

Liczba utworów umieszczanych w Internecie działa na niekorzyść bibliotek. „Im więcej informacji można zdobyć w Sieci, tym mniej jest argumentów za dalszym utrzymywaniem bibliotek. Całkowicie sieciowa biblioteka nie będzie potrzebowała ani książek, ani bibliotekarzy<sup>5</sup>. Oczywiście i bezlitosna zależność. Wyobraźmy sobie, że gdy tylko będziemy musieli przeczytać jakąś książkę, wpisujemy tytuł w wyszukiwarce i po kilku minutach znajdzie się on na dysku naszego laptopa lub czytnika. Znikną wszystkie biblioteczne rytuały: przeglądanie fiszek, wypisywanie rewersów, logistyczne akrobacje – decydowanie, które tomy zabrać do domu (bo zwykle można wypożyczyć jakąś śmiesznie małą liczbę). Zniknie stres, że znowu przetrzymaliśmy wypożyczone książki, że będziemy płacić karę i zablokują

<sup>2</sup> <http://liternet.pl/wydarzenie/rozdzielczosc-chleba-offline-1> [dostęp: 03.12.2011].

<sup>3</sup> L. Lessig, *Wolna kultura*, wstęp E. Bendyk, <http://www.futrega.org/wk/21.html> [dostęp: 10.12.2011].

<sup>4</sup> Ł. Gołębiowski, *E-książka/book. Szerokopasmowa kultura*. Warszawa 2009, s. 72.

<sup>5</sup> C. Stöll, *Krzemowe remedium*, Rebis 2000, tłum. T. Hornowski, cyt. za: Ł. Gołębiowski, *E-książka....*, s. 77.

nam konto. Zamiast wszystkich utrudnień tytuł na jedno kliknięcie? Wybieram drugą opcję.

Może powstaną e-biblioteki, w których będzie można wypożyczyć książki chronione jeszcze prawem autorskim. Pardon, nie wypożyczyć, tylko ściągnąć. Ściągnąć plik. Bez obaw, „nie nastąpi to od razu, gdyż starsze pokolenie nie jest nawykłe do korzystania z księgozbiorów udostępnianych on-line, ale nowy człowiek cyfr ma już zupełnie inne kompetencje i potrzeby. Nastają nowe czasy, o których bibliotekarze mają prawo myśleć z przeżeniem. Nadciąga zmierzch tradycyjnych bibliotek”<sup>6</sup>. Nie oznacza to jednak, że tradycyjna książka zniknie. „[...] Wciąż znaczna część społeczeństwa będzie ją lubić, kochać i hołubić. Ale już nie zawsze kupować”<sup>7</sup>.

E-książki są wygodniejsze w użyciu. Plików nie trzeba dźwigać, ich jednostką wagi nie są kilogramy, lecz megabajty. E-booki nie zajmują dużo miejsca, nie kurzą się na półkach, bo „leżą” w katalogu na dysku. Ponadto są tańsze i trwalsze. Co zaś do trwałości i podpalania bibliotek, kilka miesięcy temu trafiłam w Sieci na absurdalną informację: „frytkownica mogła spalić Bibliotekę Jagiellońską”. Zbiory biblioteczne zapisane na dyskach będą zdecydowanie bezpieczniejsze.

Tylko że „e-książka to już nie książka, to plik” – słyszę od znajomych, gdy próbuję przemycić w rozmowie zalety e-booków. Odpowiadam, że przecież jest zapisana atramentem na papierze. Tylko na trochę innym, z przedrostkiem „e”. „Eeetam, to co innego” – otrzymuję w odpowiedzi. Co innego? W numerze *Magazynu Literackiego* poświęconym przyszłości książki na rynku wydawniczym czytam, że książka „to jest toner, który wtłoczono w papier. I jeśli toner jest dobrej jakości i papier jest dobrej jakości, i dobrze je połączono, to książka też jest dobrej jakości”. Elektroniczny papier spełnia wszystkie kryteria jakości, ponieważ toner, czyli miliony czarno-białych „mikrokapsulek”, wtłoczono w cieniutką folię”<sup>8</sup>.

Nowe technologie nie są zagrożeniem dla książki. Wręcz przeciwnie. Są szansą na rozwój czytelnictwa. „Współczesny autor, moim zdaniem, nie może ograniczać się do pojedynczego medium, warto by poszerzał swój warsztat o nowe możliwości, przyjrzał się blogom, grom sieciowym, portalom społecznościowym, Twitterowi, sposobom prezentacji tekstu na urządzeniach przenośnych. Pojedyncza powieść czy tomik poezji może przecież zaistnieć we wszystkich tych kanałach jednocześnie!” – stwierdził Mariusz Pisarski, gdy zapytałam go o przyszłość książki. Niby wszystko się zgadza, więc w czym tkwi problem? Skąd bierze się niechęć do nowych mediów? Problem tkwi w przyzwyczajeniu do tradycyjnej książki i tradycyjnego sposobu myślenia o literaturze. A skąd taki nieustępliwy konserwatyzm w myśleniu moich rówieśników? Dlaczego nie potrafią wykrzesać z siebie choćby odrobiny otwartości, zainteresowania dla nowości? To konsekwencja niewiedzy i niechęci poznania?

<sup>6</sup> Ł. Gołębiewski, *E-książka...*, s. 77.

<sup>7</sup> Tamże, s. 30.

<sup>8</sup> R. Mendruń, *Tlen niewiedzy i acetylen niechęci*, <http://tygodnik.onet.pl/1,70117,druk.html> [dostęp: 02.11.2011].

Ze zdziwieniem obserwowałam reakcje koleżanek, kiedy na zajęciach z dydaktyki odczytano tekst Rudnickiego o lekturach szkolnych. Z niedowierzaniem słuchałam, jak broniły *Nad Niemnem*, *Pana Tadeusza*, *Potopu*. Na pytanie, czy rzeczywiście z przyjemnością błądziły po nadniemeńskich lasach, czy ocierały łzy podczas lektury Inwokacji, i czy z napięciem śledziły losy Kmicica, właściwie nie uzyskałam odpowiedzi. Tylko pełne oburzenia pomrukiwania typu: „Przecież to tradycja” czy „Trzeba czytać Mickiewicza!” Zgoda, nikt nie chce zniszczyć tradycji. Chodziło tylko (albo aż) o przewietrzenie i odświeżenie spisu lektur, o uchylenie zamkniętego na kilka solidnych spustów okna na świat. Bo czym jest lektura, jeśli nie próbą rozumienia świata? *Dziady* to przecież znakomity dramat, ale może przydałyby się jakieś nowoczesne teksty mówiące o tym, co dzieje się wokół nas, o n a s z e j rzeczywistości? „Nowoczesne to żadne dzieła” – bronił tradycji bastion młodych polonistek. „Poza tym Rudnicki jest chamem, burakiem i na dodatek nie zna się na rzeczy, bo nie uczy w szkole” (no tak, bo co ty, Rudnicki, wiesz o nauczaniu?). A może warto odświeżyć również spis lektur na studiach? Przeglądam tytuły na liście opatrzonej nazwą „literatura najnowsza”. Pierwszy jest Bieńczyk i jego *Terminal* (rok wydania 1994), ostatni Witkowski z *Lubiewem* (2005) oraz adnotacją „(i nast.)”. Na liście są także między innymi: Pilch (*Spis cudzołożnic*, 1993), Libera (*Madame*, 1999), Varga (*Tequila*, 2001). Obowiązkowo (przynajmniej u nas w Łodzi) Stasiuk. Tu oferta jest bogata: *Mury Hebronu* (1993), *Opowieści galicyjskie* (1995), *Dukla* (1999), *Jadąc do Babadag* (2004). Najnowszymi książkami na liście są: *Ostatni raport* Kruszyńskiego oraz *Po śniadaniu* Rylskiego. Obie książki sygnowane datą wydania 2009. Dość długa lista poetów obejmuje tylko poezję „papierową”. Okazuje się, że proponowana literatura wcale do najnowszej nie należy (UŁ nie jest w tym odosobniony). Być może źródłem ignorancji (niewiedzy?) jest nieco przedawniony program lekturowy?

Broniący tradycji znajomi przedstawili jeszcze inny argument na niekorzyść nowych zjawisk. „Książki są zamknięte w czytniku, nie widać, ile ich jest. Jak udowodnisz komuś, że masz np. pięćdziesiąt książek? Przecież nie wydrukujesz ich sobie i nie ustawisz na półce” – usłyszałam. Przypomniał mi się fragment z powieści *Na wspak* Huysmansa. Z niepokojem pomyślałam, że być może w dobie nowych mediów książka będzie przedmiotem ekstrawaganckim i fetyszizowanym. Że będziemy ją zdejmować z półek z czcią i uwielbieniem, niczym des Esseintes, który „prokurował sobie książki w swoim rodzaju jedyne, o niespotykanych formatach, którym Lortic, Trautz-Bauzonnet, Chambolle, spadkobiercy Capégo, nadawali nienaganną szatę; ze starego jedwabiu, z wytłaczanej wołowej skóry, ze skóry kozła z Cap, oprawy masywne, z kasetonikami, zdobne mozaiką, podbite różnorakimi gatunkami mory, kościelnie zbrojne w klamry i kute narożniki, niekiedy zdobione przez Gruel-Engelmanna srebrem oksydowanym lub emaliami przejrzystymi”<sup>9</sup>.

<sup>9</sup> J.-K. Huysmans, *Na wspak*, przeł. J. Rogoziński, Warszawa 1976, s. 192.

Niedawno pisałam w *Magazynie Literackim*: „potrzeba wiele czasu, by zmienić myślenie o literaturze, by wykorzenić mit gęsiego pióra i natchnionego artysty. Dziś narzędziem pisarza jest najczęściej laptop. Atrament zastąpiła klawiatura, trzynastozgłoskowiec – linki i leksje”. Zmieniłam zdanie. Nie rozprawimy się z tymi mitami. Nowe nośniki odzierają akt czytania z sensualności oraz intymności – z tymi przyjemnościami (przyzwyczajeniami) lekturowymi nie ma sensu dyskutować. Czytanie tekstu drukowanego ma wymiar fizyczny, „wkraczający w ten proces na sposób podprogowy: chodzi o grubość i rodzaj papieru, zapach farby drukarskiej, oprawy itp. Książkę można dotknąć, wziąć do ręki, poczuć jej fizyczną obecność”<sup>10</sup>. Można ją przekartkować. Słyszczyć szelest przewracanych stron. No i książki pachną. Mają także swoją przeszłość, zwłaszcza te kupione w antykwariacie. Noszą ślady poprzednich właścicieli – podkreślone fragmenty, zapiski na marginesach. Czasem między kartkami można znaleźć stare bilety MPK, przepisy na jakieś potrawy. Kiedyś w *Samotniku* Ionesco znalazłam wielką zasuszoną ćmę...

Pośród zalet tradycyjnej książki, które miały świadczyć na niekorzyść czytelników, znajomi intuicyjnie wymieniali właśnie zalety związane z fizycznością procesu czytania. Pojawiał się klasyczny obraz: długie, zimowe wieczory spędzane z kubkiem gorącej kawy w jednej ręce i z książką w drugiej. Czytnik nie pasował do tego schematu. „Czytniki nie mają klimatu” – twierdzili. „[...] W tekst na ekranie wpisane jest ryzyko, że pozostanie on dla czytelnika zimną abstrakcją, gdyż ogarnąć go można jedynie zmysłem wzroku”<sup>11</sup>.

Historia ewolucji, jakim ulegał i ulega do dziś proces czytania, pokazuje, że głosy sprzeciwu wobec nowych metod były reakcją na stopniowe odczłowieczanie, odzianie z intymności aktu lektury. Wyróżniłabym trzy rewolucje, trzy etapy zmian, jakie zaszły w procesie lektury. Od głosu do liter. Od papirusu do kodeksu. Od druku do ekranu. Każda z nich wzbudzała kontrowersje, bo burzyła porządek, ingerowała w przyzwyczajenia. Przecież nie trzeba tego przypominać...

Nowe technologie (nowe media) deformują nasze doświadczenia czytelnicze. W jaki sposób? Rodzi się pytanie: czym jest sam proces lektury? Słowo „lektura” wzięło swą nazwę od łacińskiego „legere”, które oznacza „zbierać”. A także „wybierać”. Czasowniki te wyznaczają skrajne sposoby czytania. Pierwszy z nich jest odtwórczy; czytelnik, podążając śladami narracji, rekonstruuje sensy. Drugi posiada pierwiastek twórczy. Nie wymaga od czytelnika bierności, pozostawia pole manewru, selekcji. Pierwszy sposób zarezerwowany jest raczej dla lektury tradycyjnej książki, drugi dla e-booków i hipertekstów. Z tym że w przypadku czytania hipertekstów lub ogólnie czytania w Sieci – metaforę zbierania lub wybierania należy zastąpić metaforą żeglugi, surfowania czy nawigacji.

<sup>10</sup> Ch. Vandendorpe, *Od papirusu do hipertekstu. Esej o przemianach tekstu i kultury*, przeł. A. Sawisz, Warszawa 2008, s. 175.

<sup>11</sup> Tamże.

To tylko wstępne rozgraniczenie. Przecież tradycyjna opowieść nie musi być linearna. Powieści Calvino, Bartha czy Cortazara nie zapewnią nam płynnej lektury, u kresu której czeka na nas sens. Nie dość, że nie znajdziemy żadnego ostatecznego rozwiązania, to jeszcze zdążymy się po drodze zgubić w zagmatwanym labiryncie narracji. A *Tristram Shandy*? Powieść została napisana w zamierzchłym osiemnastym wieku, jednak jej struktura jest współczesna. *Tristram Shandy* to właściwie hipertekst na papierze.

„Uporządkowanie książki i wątek tekstu zachęcają czytelnika, aby stale ponawiał swój z nim kontakt i przemierzał jego przestrzenie aż do osiągnięcia pod koniec obiecanego wtajemniczenia lub zgody na jego nieobecność”<sup>12</sup>. Narracyjna tabularność nie jest więc porządkiem, jest zaplanowana przez autora. Czytelnik zawiera z autorem niepisaną umowę, zgadza się na wszystko, co ten drugi zaplanował, nawet na lekturę, u kresu której nie czeka „wtajemniczenie”.

Podążając tym tropem, należałoby stwierdzić, że czytelnik powieści hipertekstowych jest najzwyczajniej w świecie głupi i naiwny. Klika w kolejne linki, by odnaleźć ostateczny sens? Przecież z góry zgadza się na to, co zaplanował dla niego autor. Hiperteksty też są wynikiem zmyślnego planu, choć nie możemy już mówić o umowie między autorem a czytelnikiem. Autor hipertekstualnej rzeczywistości całkowicie panuje nad wykreowanym przez siebie światem. Ma także absolutną władzę nad czytelnikiem. Niesie to za sobą pewne zagrożenie. Nieustanna dekontekstualizacja, oddalanie sensów mogą prowadzić do znużenia, zniechęcenia, mimo że hipertekst wymaga od odbiorcy zaangażowania, interaktywności. No dobrze, tylko kto powiedział, że czytelność tekstu zawsze musi być zaletą, że gwarantuje zainteresowanie?

Zastanawia mnie jeszcze jedna kwestia. Jaka jest różnica między czytaniem tej samej książki na papierze i, powiedzmy, na „Kindlu”. Na pewno czytnik poprawia komfort lektury. Ogromną zaletą e-książek jest bowiem możliwość wewnątrztekstowego wyszukiwania pojedynczych słów czy fraz. Gdy chcemy znaleźć jakiś interesujący nas fragment, nie musimy kartkować całej książki. Wystarczy wpisać słowo i kliknąć „szukaj”. Inna, prosta kombinacja dwóch poleceń „kopiuj – wklej” umożliwia nam szybkie wstawianie nawet wyjątkowo obszernych fragmentów do własnych dokumentów, notatek. Ponadto możemy zmienić kształt i wielkość czcionki oraz formę tekstu – z cyfrowej na analogową (potrzebna nam do tego zwyczajna domowa drukarka).

Nowe nośniki ułatwiają lekturę oraz zmieniają jej proces. Sprawiają, że czytamy selektywnie. Wybieramy interesujące nas treści, krążymy po tekście. Nie jest to z pewnością czytanie intensywne, polegające na uważnym zgłębianiu niewielkiej liczby tekstów, na przeżywaniu tego, co się czyta. Dziś ów model lektury ustępuje miejsca lekturze ekstensywnej – czytamy więcej, lecz nieuważnie, często w pośpiechu. Jeszcze inaczej czytamy z ekranów (laptopa, „Kindla”, iPada itd.). „Jeżeli chcesz określić czytanie z ekranu

<sup>12</sup> Tamże, s. 110.

w tych kategoriach, to wypada powiedzieć, że jest to lektura nawet nie tyle ekstensywna, co defensywna – polega przede wszystkim na odrzucaniu tego, czego nie chce się czytać, a dopiero w dalszej kolejności na wydobyciu potrzebnych informacji z czytanego tekstu”<sup>13</sup>.

Zgoda, czytanie z ekranu nie zawsze sprzyja uważnej lekturze. Zwłaszcza kiedy w pasku zadań znajdują się pootwierane zakładki, które mogą nas odesłać w zupełnie inny wymiar świata. Na dodatek podróż trwa zaledwie kliknięcie. Ile razy złapałam samą siebie na bezmyślnej czynności przeglądania na przykład czyichś zdjęć czy postów na *Facebooku*. A jak wiadomo, im dalej w Internet, tym więcej linków.

Z drugiej strony, czy chwile odstępstw od lektury nie zdarzają nam się podczas tradycyjnego czytania? Wystarczy moment, by znaleźć się w innej, z pewnością nietekstowej, rzeczywistości. Założmy, że zaintrygował nas pewien wątek, albo nawet jedno słowo z jakiejś powieści. Wyobraźnia zaczyna działać. Odżywają wspomnienia, pojawiają się przed naszymi oczami zapomniane obrazy (umysł jest z pewnością najbardziej pogmatwanym hipertekstem). Czasem wystarczą bodźce spoza książki, kiedy na przykład cień na ścianie przybiera absolutnie fantastyczną postać, kiedy w rozmieszczeniu tytułów na półkach dostrzegamy jakiś szyfr (wyższy stopień znużenia lekturą). Ułamek sekundy i już jesteśmy miliony lat świetlnych od czytanego przed chwilą tekstu. Niepotrzebne nam do tego połączenie z Internetem. Gorzej, gdy nagle uznamy, że koniecznie musimy sprawdzić naszą skrzynkę internetową, bo na pewno przyszedł już ten mail, na który tak bardzo czekamy, przecież od ostatniego sprawdzenia poczty minęła już godzina. „[...] Sama możliwość dostępu do sieci (wejścia w tryb myślenia *à la Google*) czyni niezwykle trudnym skupienie się i pracę nad tekstem w tradycyjny sposób. Muszę fizycznie odciąć się od dopływu informacji, żeby umysł przestawił się na «myślenie książkowe», przestał skakać po skojarzeniach i domagać się coraz to nowych bodźców uwagi. Ale nie wystarczy zamknięcie przeglądarki czy odejście parę kroków od komputera – bo nadal wiem, że od strumienia informacji dzieli mnie jedna decyzja, jedna sekunda; umysł czeka w gotowości” – pisze Jacek Dukaj (w eseju o znamienym tytule *Za długie, nie przeczytam*<sup>14</sup>). Skądś to znamy, prawda? Próbowalam kiedyś pracować przy laptopie, który chwilowo pozbawiony był dostępu do Sieci. Nie działa. Brak możliwości połączenia z Internetem sprawiał, że byłam rozkojarzona bardziej niż zwykle, gdy (wszech)świat mam pod ręką – na jedno kliknięcie.

Nie da się ukryć, że nowe nośniki, nowe technologie deformują nasze doświadczenia lekturowe. Możliwość wybiórczego, fragmentarycznego czytania sprawi, że za kilka lat nie będziemy zdolni skoncentrować się nad grubą powieścią? Przyzwyczajeni do multimedialnych komunikatów, zamiast

<sup>13</sup> R. Chymkowski, *Literatura na morzu i w sieci, czyli kim chce być czytelnik e-książek*, [w:] *Liter-net. Literatura i Internet*, red. P. Marecki, Kraków 2002, s. 91.

<sup>14</sup> J. Dukaj, *Za długie, nie przeczytam...*, <http://tygodnik.onet.pl/33,0,51179,1,artykul.html> [dostęp: 05.12.2011].

poematu Słowackiego wybierzemy poezję cybernetyczną? A może powieść na smartfona? Zamiast Prousta przeczytamy powieść pisaną na Twitterze – 140 znaków kontra 7 tomów? „Jeśli w 140 słowach autor potrafi zawrzeć nieznośną lekkość bytu lub ból istnienia, lub piękno księżycy nad dachami Kioto, to nie możemy takiemu ogromnemu skrótowi lub dobrze napisanemu obrazkowi odbierać statutu literackości. Niemożliwa jest jednak forma prawdziwie epicka. O powieści psychologicznej czy sadze rodzinnej nie ma mowy, chyba że gatunek ludzki zmutuje się do tego stopnia, i skarleje, że nie będziemy mogli przeczytać więcej niż pół strony tekstu...” – tak na pytanie o granice między twitteraturą a literaturą (tą „tradycyjną”) odpowiedział mi Mariusz Pisarski (twórca *Techstów* – internetowego pisma o literaturze i nowych mediach).

A może wielkie narracje nie umarły? Może po prostu się skróciły? Skróciły się i zmieniły, to prawda, ale niekoniecznie na gorsze. Na inne. Czasem sto znaków mówi więcej niż tysiąc stron. Wystarczy przypomnieć sobie sześć słów napisanych przez Hemingwaya. „For sale: baby shoes, never worn”. Twitteratura w czystej postaci.

Być może jako studentka filologii polskiej nie powinnam pisać takich rzeczy. Cóż, jestem przecież z pokolenia *Twittera*, *Facebooka*, smartfonów, czytników (lista otwarta) – i dobrze się z tym czuję. Na dodatek jestem wygodna. Zamiast tracić czas w bibliotekach, wolę wypożyczyć książki przez jedno kliknięcie. Zamiast przeglądać zakurzone fiszki, wolę dodawać nowe zakładki do własnego, internetowego katalogu. Jestem leniwa. Nie robię odręcznych notatek – zamiast kartki i długopisu – wybieram kombinację Ctrl + C i Ctrl + V. Kopiuję, wklejam, zmieniam. Jestem nowoczesna. Robię zakupy w internetowych księgarniach. Antykwariat to dla mnie muzeum, przeżytek. Wolę kliknąć w ikonę „szukaj” niż wertować setki tytułów zalegających w niealfabetycznym porządku na zakurzonych, antykwarycznych półkach. Więcej grzechów nie pamiętam. Za żaden z nich nie żałuję i nie obiecuję poprawy.

## Summary

**Martyna Brzezińska**

### **Confession of a Child of the Century**

The essay “Confession of a Child of the Century” attempts to diagnose the act of reading in time of the new media. The author does not try to figure out the answer but investigates the influence of technology on the reading process. Shall we consider it as a possible thread to literature? Is the death of the book always negative in all aspects, or is it a new way to develop readership among people? Finally, maybe the dislike of new technology is just ignorance, maybe the discussion of both sides overdue and pointless? The essay is meant to provide a youth’s perspective on current reading trends, so it is not difficult to guess which side of discussion author defends.